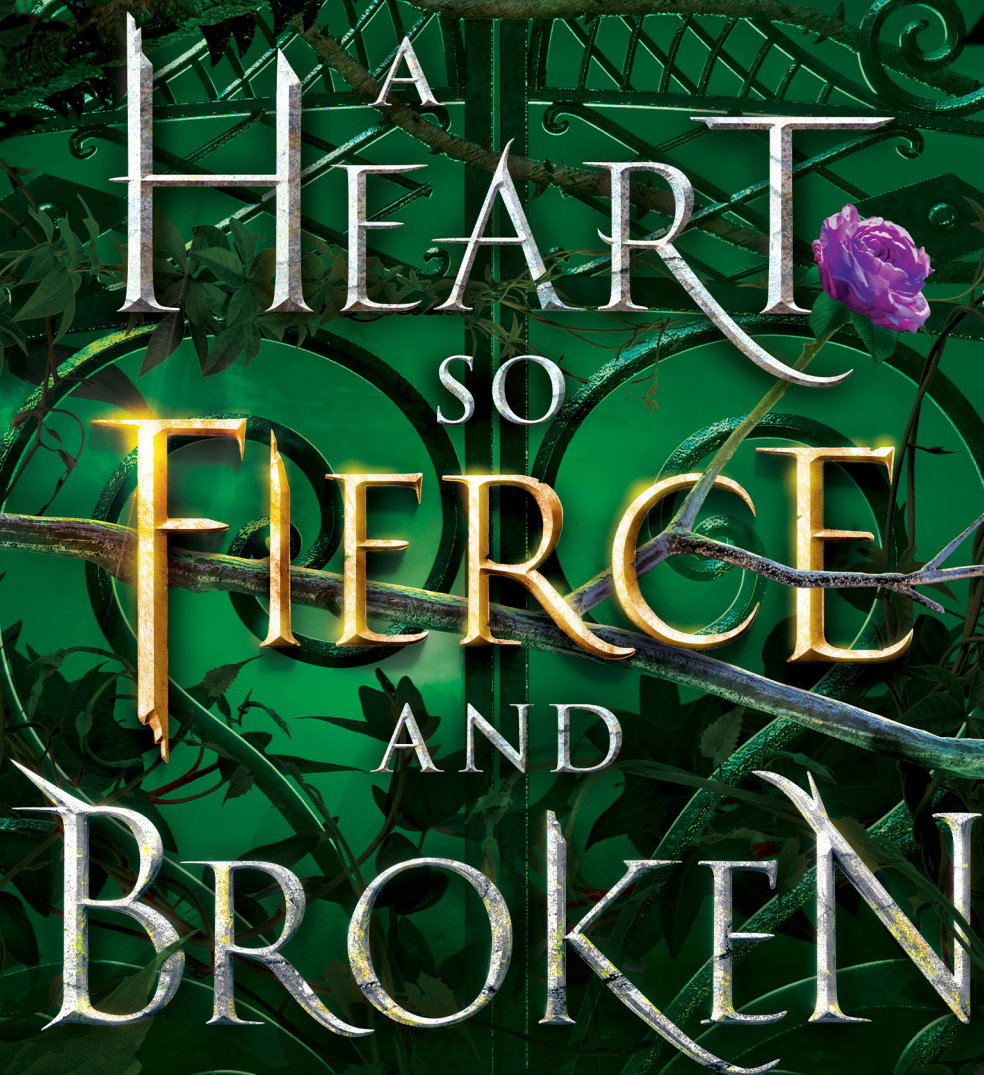


Drugi tom niesamowitego
retellingu *Pięknej i Bestii!*

A
HEART
SO
FIERCE
AND
BROKEN



BRIGID KEMMERER



Tytuł oryginału

A Curse So Dark and Lonely

Copyright © 2020 by Brigid Kemmerer

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2021

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

This translation of *A Heart So Fierce and Broken* is published by Wydawnictwo NieZwykłe by arrangement with Bloomsbury Publishing Inc. and Macadamia Literary Agency, Warsaw. All rights reserved.

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Agnieszka Nikczyńska-Wojciechowska

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Przygotowanie okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

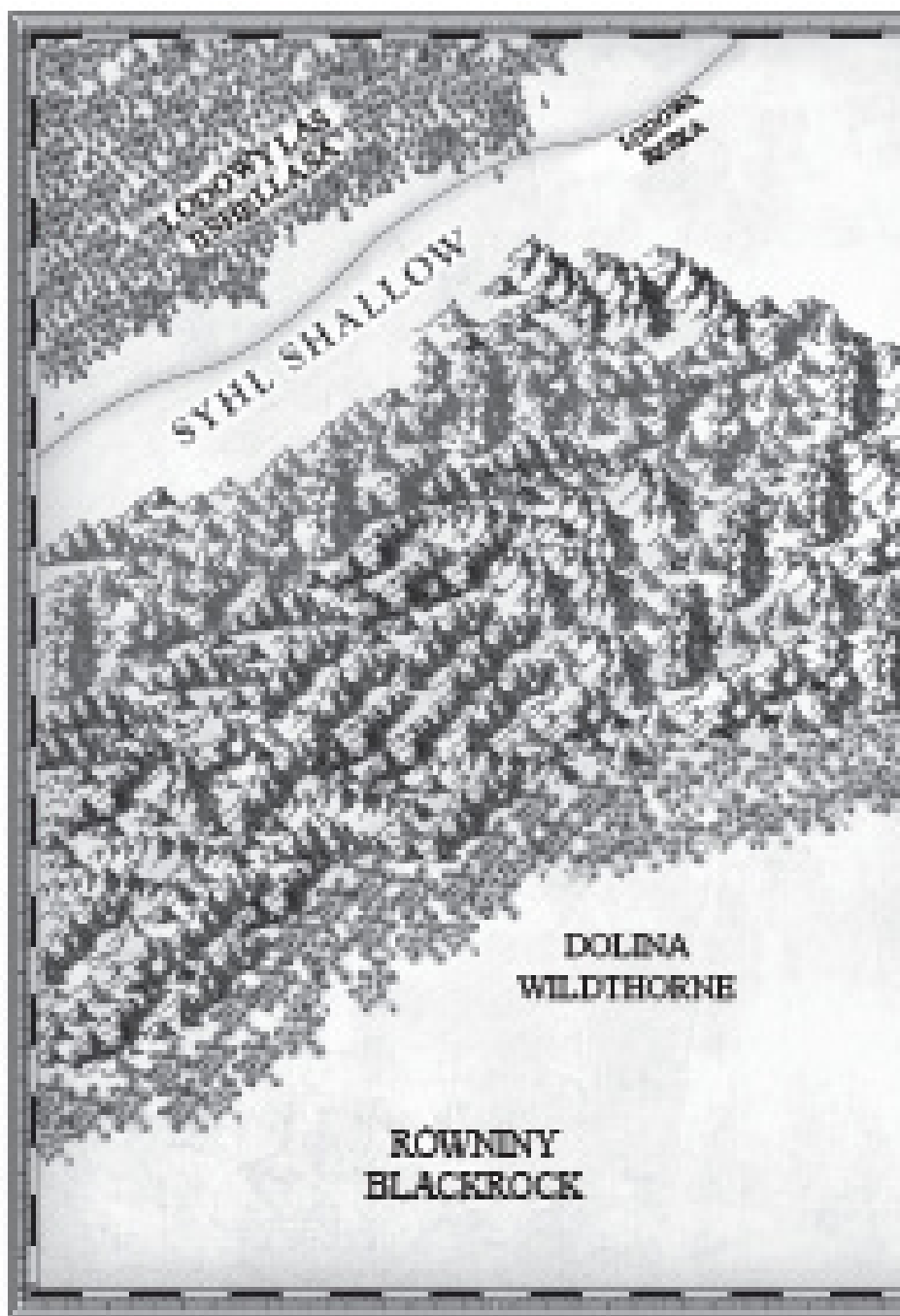
Numer ISBN: 978-83-8178-375-0

BRIGID KEMMERER

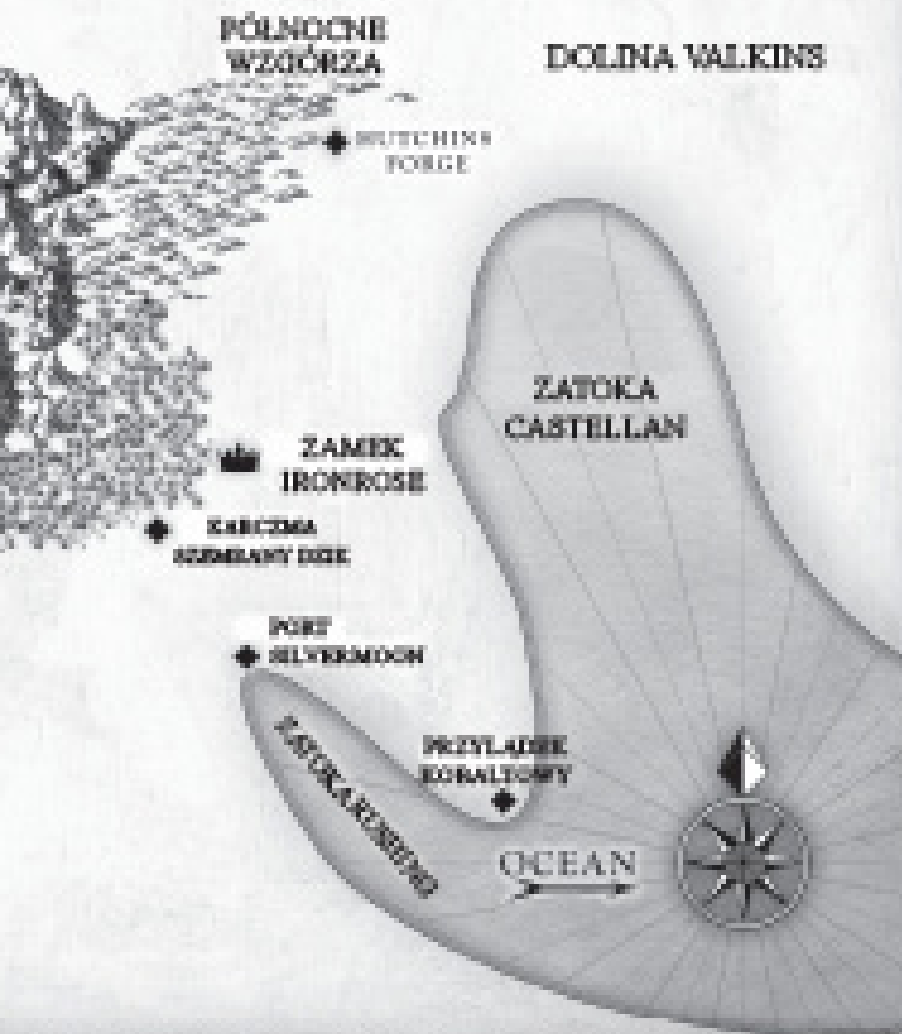
**A HEART
SO FIERCE
AND BROKEN**

**TŁUMACZENIE
DOMINIKA MACULEWICZ**

OŚWIĘCIM 2021



EMBERFALL



ROZDZIAŁ PIERWSZY



HARPER

Emberfall kompletnie pozbawia mnie poczucia czasu.

To jedna z brakujących mi tutaj rzeczy. Co prawda nie jest ich wiele, ale po zmroku, kiedy mój brzuch już dawno zapomina o wcześniejszym obiedzie, a Rhen wciąż nie wraca do swoich komnat, chciałabym wiedzieć, która jest godzina. W Waszyngtonie często chowałam się w mroku, czekając, aż mój brat wypełni zlecenie dla Lawrence'a, lecz wtedy przynajmniej miałam przy sobie telefon Jake'a, na którym w każdej chwili mogłam sprawdzić czas.

Teraz jestem Harper, Księżniczką Disi, a Emberfall jeszcze nie rozwinęło się na tyle, by uraczyć nas takimi technologicznymi cudami.

Ja i Rhen posiadamy osobne komnaty – jak przystało na następcę tronu oraz księżniczkę, z którą ma zawrzeć sojusz – ale odwiedza mnie zawsze przed pójściem spać.

Tylko że jeszcze nigdy nie musiałam na niego czekać aż tak długo.

Popołudniowe ciepło zostało całkowicie zastąpione przez chłodną bryzę wpełzającą teraz do mojej komnaty przez otwarte okna, a ogień w kominku zaczyna już przygasać. Na zewnątrz blask pochodni rzuca przyjemną poświatę na posterunki strażników rozmieszczone na terenie całego Ironrose, dzięki czemu dziedziniec nigdy nie pogrąży się w całkowitej ciemności. Wiele się zmieniło od czasu, gdy na zamku ciążyła kłątwa; wtedy

wszystkie te miejsca były puste i skąpane w mroku, a w środku nie było nikogo oprócz Rhena i Greya.

Teraz w Ironrose roi się od arystokratów, służących oraz strażników, którzy niemal cały czas dotrzymują nam towarzystwa.

A Grey wciąż nie wrócił. Nie ma go już od kilku miesięcy.

Podnoszę świecę ze stolika przy łóżku i zapalam ją przy pomocy dogasających węgli w kominku. Teraz robię to automatycznie, jakbym zdążyła już kompletnie zapomnieć o istnieniu włączników światła i prądzie. Zo, moja osobista strażniczka oraz najlepsza przyjaciółka, nie trzyma dziś warty – co mnie cieszy, bo dziewczyna zasługuje na odpoczynek. Podobnie jak Freya, moja dwórka. Światła w jej komnatach zgasty już kilka godzin temu, choć trochę żałuję, że nie zdążyłam po nią pójść. Potrzeba mi czyjś towarzystwa.

Nagle słyszę ciche pukanie do drzwi. W mgnieniu oka przebiegam przez pomieszczenie i szeroko je otwieram.

Ale to nie Rhen – co mnie szczególnie nie dziwi, bo książe zwykle nie puka. W progu stoi Jake.

Kiedy byłam mała, Jake pełnił rolę idealnego starszego brata; takiego z dobrym sercem i nerwami ze stali. Jednak, gdy oboje osiągnęliśmy wiek nastoletni, choroba praktycznie przykuła naszą mamę do łóżka, a ojciec zmienił nasze życie w istne piekło. W pewnym momencie mój brat zrobił użytek ze swojej sylwetki zawodowego futbolisty i zaczął przyjmować zlecenia od lichwiarzy, którzy raz po raz pojawiali się w progu naszego domu i domagali się pieniędzy. Tak oto w oczach ludzi spoza naszej rodziny Jake szybko przestał przypominać uroczego chłopca i zaczął wzbudzać strach.

Czas spędzony w pięknym, dzikim i niebezpiecznym Emberfall ani trochę nie złagodził tego wizerunku. Z początku czuł się tu dość nieswojo, lecz z czasem udało mu się do perfekcji opanować swoją rolę Jacoba, Księcia Disi. Włosy ma teraz nieco dłuższe, a u boku stale nosi miecz. W DC nikomu nawet nie przeszło przez myśl, żeby z nim zadzierać. I podobnie jest tutaj.

Lecz dziś na jego twarzy gości smutek.

– Hej – mówię cicho. – Wejdz.

Wchodzi do komnaty, a ja zamykam za nim drzwi.

– Myślałem, że o tej godzinie będziesz już spać – rzuca.

– Czekam na Rhena – wyznaję. – Ale to samo mogłabym powiedzieć o tobie.

Waha się przez moment.

– Właśnie pakujemy się z Noah.

Noah to jego chłopak. Wcześniej lekarz rezydent w jednym z waszyngtońskich szpitali, obecnie nadworny „uzdrowiciel”.

Unoszę brwi.

– Pakujecie się?

Wyraz twarzy mojego brata nie ulega zmianie.

– Wyjeżdżamy nad ranem.

Jestem tak zaskoczona, że mimowolnie robię krok w tył.

Kąciki jego ust unoszą się lekko ku górze.

– Nie na zawsze, Harp. Spokojnie.

– Ale jak to... wyjeżdżacie?

Wzrusza ramionami. Przez chwilę bawi się palcami, a następnie podchodzi do okna.

– Tkwimy tu już od kilku miesięcy. Wiem, że tobie podoba się to całe księżniczowanie, ale ja czuję się tu jak w klatce. – Zerka na mnie przez ramię. – Nie będzie nas tylko kilka tygodni. Najwyżej miesiąc.

Wypuszczam długi oddech.

– Miesiąc.

Wiele może się wydarzyć w trakcie miesiąca. Wiem o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

– Nie będę miała jak sprawdzić, czy nic wam nie jest – mówię. – A jeśli coś wam się stanie? Wysłanie jednej wiadomości zajmuje tu kilka dni... nawet tygodni. Poza tym wciąż nie wiemy, jak wygląda sytuacja z Syhl Shallow, koronacją Rhena czy...

Patrzy na mnie krzywo.

– Nie musisz mnie kontrolować, Harper.

– Ale to nie znaczy, że nie mogę się o ciebie martwić. – Po tym, jak Grey porwał mnie na jednej z ulic Waszyngtonu, nie widzieliśmy się z Jakiem przez kilka tygodni, a ja wciąż pamiętam, jak źle znosiłam tę rozłąkę. Nie chcę przeżywać tego po raz kolejny. – Pytałeś Rhena o zdanie? Nie wiem, czy ten pomysł mu się spodoba.

Mój brat przybiera kamienny wyraz twarzy.

– Rhen nie jest moją niańką.

– Wiem, ale...

– Zresztą on już o tym wie. Rozmawiałem z nim.

Zamieram.

– Poprosiłem go o dyskrecję – dodaje Jake. – Chciałem ci o tym powiedzieć osobiście.

Zaciskam usta w wąską kreskę.

– Widzę, że już wszystko przygotowałeś.

– Nie, Harp, nie wszystko. – Milczy przez moment. – Chcę, żebyś do nas dołączyła.

– Jake, mnie mogę. Wiesz, że nie mogę.

– Owszem, możesz. Wystarczy, że po prostu wyjdiesz frontowymi wrotami zamku, tak jak my. – Odchodzi od okna i staje przede mną, kontynuując ściszym głosem: – Ty też nie jesteś od niego uzależniona. Nie musisz codziennie na niego czekać w zacienionej komnacie.

– Ma na głowie sprawę całego królestwa – mówię. – Nie wyszedł z kolegami na piwo.

– Ma osiemnaście lat, podobnie jak ty – oświadcza Jake, a po chwili wahania dodaje: – Chcesz za niego wyjść?

Jego pytanie pozbawia mnie tchu.

Patrzy na mnie uważnie.

– Harp... Wiesz, co czeka na końcu tej ścieżki. Cały ten sojusz ze zmyśloną krainą uzależniony jest tylko i wyłącznie od waszego ślubu.

Wiem o tym.

Jednak najwyraźniej moje milczenie trwa zbyt długo, ponieważ Jake mija mnie i zatrzymuje się przed paleniskiem.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

Matżeństwo.

– Ja nie... Nie wiem.

Wrzuca kłodę do kominka i trąca ją pogrzebaczem.

– I prawidłowo. Właśnie o to mi chodzi. – Kiedy kłoda zaczyna zajmować się ogniem, Jake patrzy na mnie przez ramię. – Nie powinnaś być w sytuacji, w której twój chłopak musi cię posłuchać, żeby utrzymać się na swojej pozycji.

Podchodzę do sofy i opadam na jedną z poduszek.

– Wow, Jake. Naprawdę brakowało mi twojego towarzystwa.

Przenosi wzrok z powrotem na ogień, który teraz żywo płonie w kominku, rzucając złocisto-czerwoną poświatę na jego brązowe włosy.

– Wiem, że w DC nie mieliśmy łatwego życia, ale tutaj wcale nie jest mi lepiej.

– W Waszyngtonie omal nas nie zastrzelili – przypominam mu.

– Wiem, wiem. – Jednak nic więcej nie dodaje, więc nie jestem pewna, czy przyznał mi rację, czy zbył temat.

Nie mam pojęcia, co powiedzieć.

– Nie mogę stąd odejść, Jake.

– Kochasz go.

– Tak.

Wzdycha głośno, po czym siada obok mnie na kanapie. Opieram głowę na jego ramieniu i wspólnie wpatrujemy się w płomień.

– Plotki zaczynają wymykać się spod kontroli – mówi w końcu. – Ludzie gadają, że to nie on jest prawowitym następcą tronu. Że Karis Luran znowu zaatakuje królestwo.

– Te plotki krążą już od dłuższego czasu.

– Ludzie zaczynają narzekać, że Disi nie wysłało tu swoich sił. Podejrzewają, że ten wasz cały sojusz to ściema. – Jake milczy

przez moment, a jego spojrzenie nagle twardnieje. – Nie wyjeżdżam po to, żeby stąd uciec. Chcę wiedzieć, co się dzieje za murami tego zamku.

– Rhen by nas nie okłamywał w tej sprawie.

Brat mierzy mnie wzrokiem,

– Okłamuje cały kraj – rzuca wreszcie. – Jeżeli myślisz, że z nami jest szczerzy, to musisz być bardziej uważna.

Przetykam ślinę. Rhen taki nie jest.

– Nie chcę się z tobą kłócić, Jake.

– Nie kłóć się. Po prostu proszę, żebyś to wszystko dokładnie przemyślała. – Kręci ponuro głową. – Noah uprzedzał, że się nie zgodzisz. Ale miałem nadzieję, że chociaż się nad tym zastanowisz.

Patrzę na niego – na przewrażliwionego brata, który w przeszłości dopuścił się wielu okrucieństw, by utrzymać naszą rodzinę przy życiu. Lecz sama dobrze wiem, że tak naprawdę jest człowiekiem o wielkim sercu i jeszcze większej empatii.

– Przykro mi.

Zgrzyta zębami.

– Ciekawe, czy Grey jeszcze żyje.

– Też chciałabym to wiedzieć – mówię z westchnieniem.

– Ale nie z tego samego powodu. – Przenosi na mnie wzrok. – To on nas tu zabrał i przez niego nie możemy się stąd wydostać. – Kręci głową i przesuwając dłonią po brodzie. Od jego ciała bije napięcie. – Jak go znowu zobaczę, to ostro tego pożałuje.

Trudno uznać to za szczerą groźbę. Grey prawdopodobnie nie żyje... albo utknął po drugiej stronie. Nie wiem, co byłoby gorsze.

– Co cię dzisiaj ugryzło?

Oczy mu ciemnieją.

– Już od kilku miesięcy patrzę, jak cię tu wykorzystują, Harper.

– Nikt mnie nie wykorzystuje...

– Owszem, wykorzystują. Grey przyprowadził cię tu, żebyś złamała klątwę, z którą nie miałaś nic wspólnego. A potem jak udało ci się uciec, to znowu po ciebie przyszedł.

– Przecież chciałam wrócić. – I nie żałuję swojej decyzji.

Jednak dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że to Jake jej żałuje. Może i uratowałam mu życie, ale teraz nie ma jak wrócić do domu.

Nagle dobiega nas szcęk zasuwy. Odwracam się z zaskoczeniem i widzę stojącego w progu Rhena.

Wciąż ma na sobie oficjalny strój: zapinaną pod samą szyję niebieską kurtkę oraz miecz przy pasie. Światło płomieni nadaje jego włosom złocistego blasku i podkreśla zmęczenie widoczne w oczach. Na widok mnie i Jake'a gwałtownie zamiera, a panująca w pomieszczeniu atmosfera w jednej chwili gęstnieje.

– Wybacz – mówi ostrożnie Rhen. – Godzina już późna. Zakładałem, że będziesz sama.

Jake wzdycha głośno.

– Powinnaś być sama. Już się zmywam. – Pochyla się i całuje mnie w czoło. – Uważaj na siebie, Harper. Mówię serio.

Jego słowa nieco podnoszą mnie na duchu.

– Będę, braciszku.

Jake zatrzymuje się obok Rhena, po czym chwyta za klamkę u drzwi.

– Nie zmieniłem zdania. Jutro wyjeżdżam – oświadcza.

– Gwoli ścisłości to dzisiaj – odpowiada Rhen równie poważnym tonem. – Już po północy. – Zerka na pogrążone w mroku świat za oknem – Dustan będzie wam towarzyszył. Przydzielę mu jeszcze mały kontyngent żołnierzy. Jeśli chcesz, możecie opuścić zamek o świcie.

To nieco zbija Jake'a z tropu, ale szybko odzyskuje panowanie nad sobą.

– Dobrze.

Rhen unosi brew.

– Myślałeś, że nie dotrzymam słowa?

– Myślałem, że masz na głowie ważniejsze rzeczy.

– Owszem. Mam. – Książę przytrzymuje dla niego drzwi, ewidentnie wyprasząc swojego brata z komnaty.

Jake otwiera usta.

Rhen potrafi być cierpliwy, ale czuję, że dzisiaj ma gorszy dzień.

– Jake – mówię. – Dostałeś, o co prosiłeś.

– Wcale nie – burczy, lecz posłusznie opuszcza pomieszczenie.

Kiedy drzwi zamykają się za moim bratem, Rhen zaczyna iść w moją stronę. Mam wrażenie, że z każdym dniem cienie pod jego oczami stają się coraz bardziej widoczne, pogłębiając malującą się na twarzy niepewność.

– Wszystko w porządku? – pytam, gdy do mnie podchodzi. Po spotkaniach z doradcami zawsze sprawia wrażenie nieco zamkniętego w sobie, lecz jeszcze nigdy nie było z nim tak źle. Wzrok ma nieobecny, a wyraz twarzy tak ostry, że gdybym go nie znała, to pewnie uciekałabym przed nim w popłochu. – Co się dzieje? Już późno. Myślałam...

Chwyta mnie w tali, sprawiając, że oddech więźnie mi w gardle, a w następnej chwili przyciska usta do moich.

Na co dzień Rhen emanuje tak intensywną siłą i pewnością siebie, że czasami zapominam, jak czuły potrafi być. Przeszedł przez pokój tak, jakby szykował się na bójkę, ale ze mną obchodzi się jak z jajkiem. Przez materiał koszuli nocnej czuję jego ciepłe, miękkie dłonie. Zamykam palce na połach kurtki księcia i rozkoszuję się jego zapachem, jednocześnie dając się porwać bliskości, która w mgnieniu oka rozwiewa moje zmartwienia wywołane słowami Jake'a.

W końcu Rhen przerywa pocałunek, lecz wciąż stoi na tyle blisko, że ustami muska moje wargi. Patrzy mi głęboko w oczy.

– Już po drugiej stronie zamku czułem, że coś cię trapi – mówi, głaszcząc kciukiem mój policzek. – Teraz też to czuję.

Rumienię się i spuszczam wzrok. Gmeram palcami przy paszkach jego kurtki, jakbym niepotrzebnie chciała je wygładzić.

– Nic mnie nie trapi.

– Harper – szepcze. Kładzie dłoń na mojej, odwracając moją uwagę.

Uwielbiam sposób, w jaki wymawia moje imię – z subtelnym akcentem, który nadaje mu twardszego, tajemniczego brzmienia.

Dotyka palcem mojego podbródka i unosi mi głowę.

– Powiedz, co się dzieje.

– Jake właśnie mi powiedział, że wyjeżdża.

– Ach. – Rhen wzdycha. – Twój brat jest niecierpliwy, bezmyślny i ma okropne wyczucie czasu... Choć pewnie mógł sobie wybrać gorszy moment. Wolałbym, żeby nie wywołał w królestwie żadnych skandali. A tak przynajmniej Dustan zadba, by nie wpadł w tarapaty.

– I tak dziwię się, że przydzieliłeś mu kapitana straży.

– Z ciężkim sercem, ale takiego zadania nie mogę powierzyć byle komu. Straż wciąż jest niedoświadczona, a twój brat chce wyjechać stąd jak najszybciej, niezależnie od mojej opinii.

Cały Jake.

Rhen patrzy na mnie uważnie.

– Wolałabyś, żebym przydzielił mu Zo?

– Nie. – Nie zniosłabym utraty kolejnej bliskiej mi osoby.

– Jake wspomniał ci, że chciał zabrać mnie ze sobą?

Zamiera.

– Nie wspomniał. I co mu odpowiedziałaś?

To jedna z rzeczy, które w nim uwielbiam. Może i na co dzień rządzi państwem i nie znosi przy tym niczyjego sprzeciwu, ale mnie zawsze zostawia wolny wybór.

– Odmówiłam.

Wypuszcza długi oddech i ponownie mnie całuje.

– Już zacząłem się bać, że po tak długim czasie los znowu mi cię zabierze.

Wtulam twarz w jego szyję, wdychając znajomy zapach.

– Nigdzie się nie wybieram.

Przez moment trzyma mnie w ramionach, lecz wciąż czuję bijące od niego napięcie.

– Jake mówił, że plotki krążące na temat prawowitego następcy tronu rosną w siłę.

– Ma rację.

Kładę dłoń na jego piersi, myśląc o słowach brata.

– Porozmawiaj ze mną, Rhen.

Wypuszcza powietrze z rozdrażnieniem.

– W królestwie naprawdę żyje inny dziedzic. Mówią o nim nawet królewskie zapiski zabezpieczone przez mojego ojca. Chciałem przyspieszyć koronację, ale wielu arystokratów domaga się ode mnie dowodu na to, że tron należy się właśnie mnie. A ja zamierzam rozwiać ich wątpliwości.

– Jak chcesz znaleźć dziedzica?

– Nie wiem, czy nam się to uda. W tej chwili może już nie żyć. Mamy za mało informacji. Jeżeli zgodnie z zapiskami jego matka była wiedźmą, to może korzystać z magii... Podobnie jak *Lilith*. Powiedziała mi kiedyś, że nie jest ostatnią przedstawicielką swojego gatunku, ponieważ wyczuwa obecność kogoś jeszcze. Magia została wygnana z Emberfall wiele lat temu, ale gdybyśmy rozpuścili w królestwie plotkę o istnieniu kolejnego maga, to pewnie udałoby nam się go odnaleźć o wiele szybciej.

Lilith. Już samo jej imię przyprawia mnie o dreszcz.

– Co zrobisz, jak już go znajdziesz?

– Jeżeli włada magią, to trzeba będzie go unicestwić.

Odsuwam się od niego gwałtownie.

– Rhen!

Książę milczy, choć tak naprawdę nie musi nic mówić. Jego spojrzenie całkowicie mi wystarcza.

Robię kolejny krok w tył.

– Przecież to twój brat.

– Nie. To ktoś zupełnie mi obcy – odparowuje stanowczym tonem. – Z powodu jednej wieźmy spędziłem w tym zamku niemal wieczność i przez to omal nie doprowadziłem swojego kraju do ruiny. Nie mam zamiaru znowu podejmować tego ryzyka.

Zamieram, a ogień w moich żyłach w mgnieniu oka zostaje zastąpiony przez lód. Nie wiem, co powiedzieć. Już raz widziałam, jak z jego rozkazu ginie człowiek, ale tamten mężczyzna zabił jednego z naszych strażników – zabiłby pewnie i nas, gdyby wszystko potoczyło się po jego myśli.

Lecz teraz jest inaczej. W tym przypadku książe skazuje na śmierć kogoś, kogo nigdy nie widział na oczy.

Rhen robi krok w moją stronę i podnosi dłoń do mojego policzka.

Wzdrygam się, a książe zamiera.

– Nie chciałem cię zdenerwować – mówi cicho. Szczerze. – Nie miałem pojęcia, że aż tak bardzo cię to zaskoczy. Sama widziałas, czego dopuściła się Lilith.

Owszem. Widziałam, jak torturowała Rhena, a on w żaden sposób nie był w stanie jej powstrzymać.

– Pewnie masz rację – odpowiadam bez przekonania. Biorę drżący wdech i przyciskam dłoń do brzucha.

Rhen udowodnił już, że dla bezpieczeństwa Emberfall gotów jest zrobić absolutnie wszystko. I teraz mi o tym przypomina.

– Nie zamykaj się przede mną – mówi cicho, a w jego głosie pobrzmiwa nowa, wrażliwa nuta. – Proszę. Nie zniosę tego.

Jest taki zmęczony i spięty. Zastanawiam się, kiedy ostatnio zażył choć odrobiny snu. Biorę głęboki wdech, próbując uspokoić drżenie rąk, i opłatam go ramionami w pasie.

– Powiedz, co cię dręczy – szepczę.

– Wciąż nie wiemy, czy Lilith rzeczywiście nie żyje – wyznaje Rhen. – Jeśli uda jej się odnaleźć tego dziedzica... Jeśli połączą siły...

– Minęło kilka miesięcy. Albo to ona utknęła po drugiej stronie, albo Grey.

– Albo się jej zaprzysiągł, a Lilith teraz czeka na okazję, by znowu uderzyć.

Grey poprzysiągł jej służyć, żeby uratować mi życie... A chwilę później przytknął miecz do gardła wiedźmy i zniknął. Przeniósł się do Waszyngtonu, DC.

– Nie zrobiłby tego – mówię. – Rhen. To wykluczone.

– Muszę chronić poddanych, Harper.

Przysuwa się bliżej, a ja słyszę, jak jego oddech stopniowo zaczyna się uspokajać. Zamyka oczy, kiedy kładę mu dłoń na policzku. Jeszcze kilka miesięcy temu zrobił dokładnie to samo w postaci potwora. Pamiętam, jak wtedy czułam ogarniający go strach. W tej chwili jest podobnie.

– Już nie jesteś potworem – szepczę.

– Wysłałem strażników do domu matki Greya, który leży w Dolinie Wildthorne – mówi z wahaniem księżę.

Moja dłoń zamiera na jego policzku.

– Co? Kiedy?

– W zeszłym tygodniu – odpowiada. – Na wszelki wypadek.

– Milczy przez moment. – Dzisiaj wrócili.

Grey powiedział mi kiedyś, że Lilith wymordowała niemal całą jego rodzinę. Tylko matkę zostawiła przy życiu.

– I czego się dowiedzieli?

– Jego matki nie było w domu. Według mieszkańców kilka miesięcy temu sprzedała swój majątek i opuściła wioskę. – Znowu milknie. – Plotka głosi, że przez jakiś czas pomieszkiwał u niej jakiś ranny mężczyzna, ale nikt nie widział go na oczy.

Wciążam powietrze.

– Czyli możliwe, że Grey wciąż żyje – szepczę.

– Tak – mówi Rhen pewnym głosem, lecz czuję, że się martwi. – To by wynikało z ich raportu.

Podnoszę na niego wzrok.

– Grey nigdy nie dołączyłby do Lilith, Rhen.

– Skoro tak, to dlaczego nie wrócił to Ironrose?

Myślę przez chwilę nad odpowiedzią, ale żadna nie przychodzi mi do głowy.

– Karis Luran w każdej chwili może przeprowadzić kolejny atak na Emberfall – kontynuuje Rhen. – Dziedzic może dać o sobie znać z dnia na dzień. – Znow nic nie mówi przez moment. – A Lilith może skrywać się w cieniu i czekać na dogodną okazję, by po raz kolejny zmienić nasze życie w piekło.

Opieram głowę na piersi księcia i przenoszę wzrok na okno, za którym widać rozgwieżdżone niebo.

– Och, Grey – mówię. – Gdzie jesteś?

– Dobre pytanie – odpiera z westchnieniem Rhen, a jego głos wręcz ocieka tęsknotą i smutkiem. Całuje moje włosy. – Też chciałbym to wiedzieć.

ROZDZIAŁ DRUGI



GREY

Późnym popołudniem w powietrzu wciąż czuć żar letniego słońca, lecz panująca w stajni cisza wydaje się niemal łagodzić jego intensywność.

Najważniejsze, że nikt nie będzie mnie tu szukał.

Przerzucam siano widłami, czując jak suche źdźbła i kurz kleją się do moich spoconych rąk. Największe upały jeszcze przed nami, ale wysokie temperatury nigdy nie stanowiły dla mnie problemu.

Ponieważ turnieje Worwicka odbywają się dopiero po zmroku, w środku nie ma nikogo oprócz mnie i Tycha. Niedługo stajnie wypełnią się okrzykami ludzi, którzy będą trwonić swoje oszczędności poprzez obstawianie potencjalnego zwycięzcy wyścigu lub wyklócać się o wiszącą na końcu alejki broń do wypoczynienia, a w połączeniu z lejącym się litrami alkoholem i euforią, tutejsza atmosfera i hałas staną się wręcz nie do zniesienia.

Jednak na tę chwilę stadion ziele pustkami, a stajnie domagają się dokładnego czyszczenia. Oczywiście, te warunki w żaden sposób nie przypominają luksusów, jakimi cieszyłem się jako dowódca straży królewskiej w zamku Ironrose.

Tycho czyści boksy z łajna, nucąc pod nosem jakąś melodię, lecz robi to tak cicho, że dyszenie koni niemal całkowicie ją zagłusza. Ma dość drobną budowę ciała jak na swój wiek – wygląda, jakby miał dwanaście lat, nie piętnaście – ale porusza się ze zwinnością, której pozazdrościłby mu niejeden mło-

dzieniec. Ciemnoblond włosy sięgają mu do brody, zasłaniając błękit oczu.

Tycho również lubi tę porę dnia, ale z innego powodu. Czasem po zakończeniu turnieju mężczyźni pod wpływem różnego rodzaju trunków przychodzą do stajni w poszukiwaniu rozrywki. Pewnego razu słyszałem, jak kilku z nich oferowało Worwickowi pieniądze w zamian za godzinę spędzoną w towarzystwie chłopca – a Worwick rozważał tę propozycję.

Chłopak wie, jak nie rzucać się w oczy.

Z kolei ja od kilku tygodni uczę go, jak się bronić.

– Ile ci jeszcze zostało? – wołam do niego.

– Trzy – odkrzykuje, wycierając czoło ramieniem. – Do diabła, jak gorąco.

Zerkam przez okno stajni, żeby sprawdzić pozycję słońca. Do zmroku mamy jeszcze kilka godzin.

– Resztę zostaw mnie. Ty leć do Warczącego Psa. Jodi wspominała, że w tym tygodniu będą serwować kraby z Silvermoon.

Niemal natychmiast wyskakuje z boksu.

– Hawk, karczma Jodi leży po drugiej stronie miasta.

Hawk. Minęły już trzy miesiące, a ja wciąż nie potrafię przyzwyczaić się do nowego imienia. Odsuwam mokre włosy z czoła i wykrzywiam usta w uśmiechu.

– W takim razie lepiej się pośpiesz. Za gotowanego kraba życzą sobie miedziaka.

Wzdycha głośno... Lecz chwilę później po alejce niesie się odgłos jego pośpiesznych kroków.

– Jak wygram, to zamówię od razu tuzin – krzyczy na odchodnym.

Nie wygra. Mimo że dałem mu sporą przewagę.

Ale przyznam, że idzie mu coraz lepiej.

W dniu przybycia do Rilliska wciąż dochodziłem do siebie po walce z Lilith. Przez kilka pierwszych tygodni koszmary nie dawały mi spać, co oczywiście skutkowało zmniejszoną wydajno-

ścią i brakiem skupienia podczas wykonywania nawet najprostszych czynności. Czyszczenie stajni zużywało ostatnie pokłady mojej energii.

Z kolei jak już wróciłem do zdrowia, monotonia towarzysząca pracy na turniejach szybko zaczęła mnie nudzić i przyprawiać o niepokój. Brakowało mi fizycznych wyzwań, z jakimi wiązała się służba w królewskiej straży. Kilka godzin machania widłami było niczym w porównaniu z rygorystycznymi treningami szermierki, dlatego w końcu postanowiłem budzić się przed świtem i biegać wokół miasta lub wspinać się na dziurawe podpory dachu stadionu.

Nie wiem, jak długo Tycho za mną chodził, nim w końcu go na tym przyłapałem. Miał szczęście, że nie wziąłem wtedy żadnej broni, ale najbardziej przeraziła mnie nieuwaga, z jaką do tychczas poruszałem się po mieście i z której nawet nie zdawałem sobie sprawy.

Choć może to ja powinienem uznać się za szczęściarza. Moje umiejętności fechtunku z pewnością wzbudziłyby niechciane zainteresowanie. Nie chcę, by mieszkańcy oddali mnie straży królewskiej, gdy ta zjawi się tu w poszukiwaniu wyszkolonego szermierza. Czasem ćwiczę z Tycho przy pomocy nowych ostrzy, ale staram się pokazywać mu tylko podstawowe manewry i kontrować jego ataki.

Na zewnątrz rozlega się skrzypienie wozu i stłumiony stukot końskich kopyt, a po chwili słyszę gruby, męski głos:

– Tycho! Hawk! Chodźcie zobaczyć, co tu mam!

Worwick. Wzdycham ze zrezygnowaniem. Znając dziwaczne zainteresowania właściciela, może to być wszystko: poczynając od wielkiej płyty lodu lub zardzewiałego gwoźdźdza, a kończąc na trupie jednego z rybaków.

A biorąc pod uwagę dzisiejszy upał, mam ogromną nadzieję, że ostatnią z tych rzeczy mogę wykluczyć.

Wychodzę ze stajni, wycierając dłonie o spodnie. Na wozie leży skrzynia większa ode mnie, pokryta kilkoma dużymi pasami tkaniny, której rąbki zostały związane przy kantach. Sierść koni jest mokra od potu, a z ich pysków cieknie spieniona ślina.

Właściciel stadionu ma brzydki nawyk zajeżdżania wszystkich zwierząt. Będę musiał je umyć, zanim ruszę biegiem przez miasto. Wygląda na to, że Tycho jednak wygra tę rundę.

Worwick sprawia wrażenie, jakby znalazł skrzynię pełną królewskiego złota. Praktycznie zeskakuje z siedzenia woźnicy, co samo w sobie wiele mówi o podekscytowaniu mężczyzny, patrząc na jego tęgą posturę. Wyciąga chustkę z kieszeni i wyciera nią spocone czoło.

– Nie uwierzycie – mówi. – No nie uwierzycie.

– Co tam masz? – pytam.

– Gdzie Tycho? – odpowiada pytaniem na pytanie Worwick. Nagle wybucha radosnym śmiechem. – Chcę zobaczyć jego minę.

Biegnie do karczmy, żeby kupić cały stos gotowanych krabów, za które będzie musiał zapłacić, jeśli zaraz nie przejdiesz do rzeczy.

– Wysłałem go do miasta po maść dla jednego z koni.

– Ach. Szkoda. – Wzdycha z rozczarowaniem. – Czyli twoja reakcja będzie musiała mi wystarczyć.

Wie doskonale, że nie może liczyć na mój entuzjazm. Zbyt wiele czasu spędziłem w towarzystwie księcia Emberfall – oraz jego formie potwora – żeby to, co Worwick schował pod tą płachtą, miało wyrzucić na mnie jakiegokolwiek wrażenie.

Właściciel nie jest złym człowiekiem. To prostak, który namiętnie daje się ponieść swojej żądzy zarobienia kilku dodatkowych srebrników. Gdybym wciąż był Greyem, dowódcą straży królewskiej, byłoby mi go zwyczajnie żal.

Ale jako Hawk jedynie znoszę jego towarzystwo.

– No, to śmiało – mówię.

– Pomóż mi rozwiązać płachtę.

Węzły są dość ciasne. Właśnie biorę się za rozplątywanie drugiego, gdy nagle zdaję sobie sprawę, że mężczyzna nie ruszył się z miejsca, tylko uważnie mnie obserwuje.

Typowe. Kiedy drugi węzeł puszcza, podnoszę materiał.

To klatka. A w niej... Jakieś stworzenie. Nie wiem, co to takiego.

Po części przypomina człowieka. Jego ciemnoszara skóra przywodzi mi na myśl kolor zachmurzonego nieba. Ma duże, skrzepowane liną skrzydła oraz ogon, który teraz leży zwinięty na podłożu klatki. Jego dłonie i stopy są zakończone pazurami, a oczy przesłania mu burza czarnych, lśniących od potu włosów.

Nie rusza się.

– Jasny gwint – mówi Worwick. – Myślisz, że nie żyje?

– Jeśli żyje, to ledwo. – Patrzę na niego krzywo. – Jak długo trzymałeś go pod tą płachtą?

– Dwie godziny.

– W tym upale?

Zakrywa usta dłonią.

– O rany.

– Trzeba dać mu wody. – Widząc, że mężczyzna nie reaguje, zeskakuję na ziemię i idę do stajni po wiadro.

Kiedy wracam, stworzenie wciąż tkwi w tej samej pozycji. Wspinam się z powrotem na wóz i kucam przy klatce, patrząc na ruch jego klatki piersiowej. Przynajmniej oddycha. Nabieram wodę w dłoń, wsuwam rękę pomiędzy pręty i spryskuję twarz potwora. Jego nos jest delikatnie węższy, a szczeka nieco szersza niż u człowieka. Patrzę, jak krople spływają leniwie po szarej skórze.

– Co to takiego? – pytam Worwicka. – Skąd go wytrzasnąłeś?

– To scraver – odpowiada. – Jego poprzedni właściciele powiedzieli, że złapali go w lodowym lesie położonym daleko na północy, jeszcze za Syhl Shallow. Wygrałem go w karty! Mówię ci, chłopcze, szczęście mi dziś sprzyja.

Scraver. Pamiętam tę nazwę z opowieści, których słuchałem jako mały chłopiec, ale nie potrafię przypomnieć sobie szczegółów. Minęło zbyt wiele czasu.

- Myślałem, że to mit. Bajka, którą straszy się małe dzieci.
- Widać nie do końca.

Ponownie nabieram wody w dłonie, wylewam ją na twarz stwora, po czym cmokam cicho, mając nadzieję, że to go obudzi. Powieki scravera drżą delikatnie, ale oprócz tego nie wykazuje żadnych oznak życia.

– Wyobrażasz sobie – odzywa się nagle Worwick – że za samo oglądanie tego czegoś życzyli sobie dwa miedziaki? Że też im nie wstyd.

Unoszę brwi. Empatia nie jest mocną stroną Worwicka, więc te słowa lekko zbijają mnie z tropu.

- Zgadzam się.
 - Właśnie! Za scravera? Ludzie bez wahania dawaliby po pięć.
- Ach, mój błąd.

Gdy nabieram wody po raz trzeci, stwór delikatnie się wzdryga. Porusza ustami, jakby podświadomie chciał zaspokoić pragnienie, i przesuwają się w moją stronę, drapiąc pazurami podłogę klatki. Jego ruchy są niemal całkowicie pozbawione sił.

– Spokojnie – szepczę. – Zaraz dam ci więcej. – Znowu nabieram wody. Powinienem był przynieść chochlę.

Scraver bierze głęboki wdech, rozszerzając nozdrza, a z jego piersi wydobywa się niski pomruk. Przysuwam dłoń do ust stworzenia najbliżej, jak to możliwe.

Nagle potwór otwiera czarne, pozbawione białek oczy, powarkując cicho.

- Spokojnie – powtarzam. – Nie skrzywdzę...

Rzuca się na moją dłoń. Pośpiesznie zabieram rękę, ale scraver jest szybszy. Zatapia kły w moim nadgarstku, nim udaje mi się go wysunąć spod prętów. Wyszarpuję ramię i gwałtownie odskakuję od klatki, potykając się o wiadro i spadając z wozu.

Worwick patrzy na mnie przez moment i wybucha śmiechem.

– Oj, chyba jednak lepiej, że ty tu zostałeś. Tycho na twoim miejscu pewnie już by nie miał dłoni.

Do diabła. Z mojego nadgarstka krew leje się strumieniem, a rana szczypie mnie od pokrywającego ją potu i ziemi.

Scraver przywiera plecami do przeciwległej ściany klatki. Z tej perspektywy widać wyraźnie, że to męski osobnik. Patrzy na mnie, obnażając groźnie kły, a w jego nieprzeniknionych, czarnych ślepiach widać ostrzeżenie.

– Teraz będziesz musiał trochę poczekać na wodę – rzucam sucho.

– Jak myślisz, co powinniśmy z tym zrobić? – pyta Worwick.

Wzdycham. Nadgarstek piecze mnie niemiłosiernie i umieram z głodu. Muszę szybko pójść po Tycho i wrócić z nim na stadion przed zmrokiem, bo w przeciwnym razie Worwick złoży nam skórę.

– Nie możemy zostawić go na słońcu. Wprowadźmy wóz do środka – mówię. – Po turnieju zastanowimy się, co dalej.

– Hawk, ty to masz jednak miękkie serce. – Klepie mnie w ramię. – Będę w biurze, w razie, gdybyś mnie potrzebował.

Co za szczęście.

Tycho siedzi przy barze z szerokim uśmiechem na ustach oraz leżącym na blacie talerzem z sześcioma krabami. Ze względu na relatywnie wczesną porę w karczmie nie ma jeszcze zbyt wielu ludzi, a chłopak ma cały bar tylko dla siebie. Widząc tę radość na jego twarzy, zaczynam się cieszyć, że Worwick zabrał mi tyle czasu.

Mimowolnie odwzajemniam uśmiech.

– Nie bądź taki pewny siebie.

Tycho szczerzy się do Jodi – młodej kobiety stojącej za barem.

– Chyba wezmę jeszcze tuzin. Na koszt Hawka.

Kelnerka uśmiecha się na te słowa, a jej oczy lśnią.

– Wedle życzenia.

Parskam śmiechem.

– Pochorujesz się od takiej ilości krabów. Nie licz, że będę cię niósł z powrotem na stadion.

– Nie liczę. – Popycha tacę w moją stronę. – Druga połowa jest dla ciebie.

Wspinam się na stołek obok niego, a Jodi stawia przede mną drugi talerz skorupiaków oraz nóż. Długi bieg przez miasto niemal całkowicie pozbawił mnie apetytu, ale mimo to biorę ze stosu jednego kraba. Nie chcę psuć dobrego nastroju Tycho – zwłaszcza że rzadko okazuje tyle entuzjazmu.

Jodi opiera się o ladę. Ma brązowe, sięgające pasa włosy, z wplecionymi w nie różnego rodzaju piórami i kamykami, opaloną skórę, piegi na policzkach oraz szparę między przednimi zębami. Piersi niemal wypływają z głębokiego dekoltu jej sukni, kiedy opiera przedramiona o blat i obdarza mnie czarującym uśmiechem.

Oczywiście jej zaloty nie umykają mojej uwadze, ale tak długo odmawiałem sobie jakichkolwiek uciech serca, że zapomniałem już, jak to jest darzyć kogoś tego typu uczuciem.

Nie. To nieprawda. Nie zapomniałem o Harper. Nie zapomniałem o zawziętości, jaka płonęła w jej oczach, oraz dotyku jej ciepłych dłoni, kiedy uczyłem ją rzucania nożami.

Wtedy te emocje były dla mnie zakazane i teraz też nie jest inaczej. A ponieważ rozmyślanie o Harper na nic mi się w tej chwili nie zda, pośpiesznie skupiam się na posiłku.

– Wina czy piwa? – pyta Jodi.

– Wody. – Kroję kraba na pół i wyciągam mięso ze środka.
– Poproszę.

Wydyma wargi.

– Nigdy nic nie pijesz.

Wzruszam ramionami.

– Tycho wydał już wszystkie moje oszczędności na jedzenie.
– To bzdura, ale nie mam dziś głowy do alkoholu. Nie jestem do niego przyzwyczajony, ponieważ strażnikom nie pozwalano pić na służbie. Złamałem tę zasadę tylko raz: kiedy Rhen zaoferował mi butelkę nalewki swojego ojca, przez co omal nie skończyłem na podłodze. Jako Hawk staram się unikać wszelkiego rodzaju trunków w obawie, że alkohol rozpląće mi język i sprawi, że wyjawię wszystkie swoje sekrety przypadkowym ludziom.

Choć może wcale by się tak nie stało. Kiedy jeszcze służyłem w królewskiej straży, miałem wrażenie, że moje życie składało się z dwóch odrębnych etapów: w pierwszym z nich byłem zwykłym chłopcem ze wsi, który desperacko próbował utrzymać swoją rodzinę przy życiu.

W drugim etapie byłem strażnikiem, którego głównym celem wciąż było utrzymywanie rodziny... Mimo że chwilami zapominałem o jej członkach. Z czasem zacząłem ich postrzegać jako kompletnie obce mi osoby – nie ludzi, którzy dawno temu byli dla mnie całym światem.

Teraz wygląda na to, że moje życie weszło w trzeci etap. Są takie momenty, gdy zamek i kłątwa również zaczynają odchodzić w zapomnienie, a Grey-strażnik stanowi coraz mniejszą część mojej osobowości.

Jodi stawia przede mną szklanekę wody. Opróżniam połowę jednym haustem, wycieram usta serwetką, a następnie przekrajam kolejnego kraba.

– Jesz jak arystokrata – mówi zamyślonym głosem. – Nigdy wcześniej nie zwróciłam na to uwagi.

Zamieram na ułamek sekundy, lecz pośpiesznie otrząsam się z zaskoczenia. Trafna uwaga, ale nie mam nad tym kontroli: jem jak ktoś, kto przez wiele lat spożywał posiłki z członkami rodziny królewskiej.

Próbuję pozbyć się tego eleganckiego manieryzmu, choć pewnie wygląda to sztucznie. Mam wrażenie, że lada chwila utnę

sobie palec. Uśmiecham się do Jodi i lekko szturcham Tycho ramieniem.

– Pewnie za bardzo przyzwyczyłaś się do oglądania pijaków, którzy wygrzebują sobie jedzenie pomiędzy zębów.

Chłopiec uśmiecha się nieśmiało.

– Ja przynajmniej jestem trzeźwy. – Nagle przenosi wzrok na prowizoryczny bandaż, którym owinąłem sobie nadgarstek.

– Co ci się stało?

Następnego kraba przełamuję palcami, czując na sobie wzrok Jodi.

– Worwick znalazł sobie nową zabawkę.

– Zabawkę?

Nim udaje mi się odpowiedzieć, drzwi do karczmy zostają otwarte z taką siłą, że uderzają o ścianę. Do środka wchodzi pół tuzina uzbrojonych mężczyzn w zbrojach, na których widnieje złoto-czerwone insygnium Emberfall.

To nie straż, tylko żołnierze należący do królewskiej armii. Sztywnieją, odwracając się z powrotem do swojego talerza. Tycho również milczy.

Zaczynam żałować, że nie mam przy sobie miecza. Powoli zamykam palce na rękojeści noża.

Pewnie przesadzam. Nie zdążyłem dokładnie im się przyjrzeć, ale żaden z żołnierzy nie wyglądał znajomo. Mnie też raczej nie rozpoznają; włosy mam dłuższe niż kilka miesięcy temu, a moją brodę pokrywa zarost.

Zresztą, nawet nie wiem, czy są tutaj z mojego powodu.

Jeden z nich podchodzi do baru i rzuca na ladę brązową monetę.

– Poproszę o jakąś strawę i coś do picia dla siebie i chłopców.

Jodi chowa miedziaka do kieszeni, dygając z gracją.

– Już się robi, panie.

Żaden z niego pan, ale ten tytuł wyraźnie poprawia mu humor. Dwóch spośród pozostałych żołnierzy usadowionych przy stoliku obok drzwi gwizdże z uznaniem.

Mężczyzna stojący przy ladzie rzuca na blat kolejną monetę i odchrząkuje.

– Dziękuję.

– I ja również. – Jodi chowa miedziaka i odwraca się od lady, puszczając mi oczko.

Posyłam jej słaby uśmiech, wciąż zastanawiając się nad powodem ich wizyty. Rillisk nie leży przy granicy. Armia królewska zwykle się tu nie zapuszcza.

Mężczyzna nagle nieruchomieje i przenosi na mnie wzrok.

Biorę łyk ze swojej szklanki, ważąc nóż w dłoni. Jeśli sytuacja mnie do tego zmusi, w mgnieniu oka rozharatam mu gardło. Wciąż pamiętam ten ruch. To łatwiejsze niż rzucanie nożami, więc wystarczyłoby...

– Czy to gotowane kraby? – pyta. – Od lat nie jedliśmy skorupiaków.

Odchrząkuję i powoli zdejmuję palce z rękojeści noża.

– Jodi robi najlepsze w mieście – rzucam ochryple.

– W takim razie dobrze trafiliśmy.

W końcu przenoszę na niego wzrok. Muszę to zrobić, bo w przeciwnym razie będę sprawiał wrażenie, jakbym miał coś do ukrycia.

Mężczyzna ma ciemne włosy, zaczerwienioną skórę oraz potężną budowę ciała. Nie rozpoznaję go. Zalewa mnie fala ulgi, dzięki której wreszcie mogę swobodnie oddychać.

– Nie pożałujecie. – Milczę przez moment. – Daleko zmierzacie?

– Na północ, do Hutchins Forge – odpowiada. – Sprawy korony.

– Oczywiście. – Kiwam głową, po czym zsuwam się ze stołka. – Bezpiecznej podróży, żołnierzu. – Kładę kilka monet obok swojego talerza. – Tycho, czas na nas.

Mimo że nie skończyliśmy jeszcze posiłku, chłopak bez słowa zeskakuje z miejsca i rusza za mną do wyjścia, prosto w palące promienie słońca.

Jednak kiedy drzwi zaczynają się za nami zamykać, dobiega mnie głos jednego z żołnierzy:

– Kapitanie, ci ludzie na pewno wiedzą już o zamieszkach, jakie wybuchają przez plotki na temat tego dziedzica. W całym królestwie od nich huczy.

Łapię Tycho za rękaw i wstrzymuję oddech, mając nadzieję usłyszeć coś więcej.

– Jak myślisz, co zrobi księżę, jak już go znajdzie? – pyta kolejny.

Kapitan parska śmiechem.

– Pewnie każe skrócić go o głowę. Król nie żyje. Księżę zajmie jego miejsce. Nie pozwoli, żeby jakiś obcy...

Drzwi się zatraskują, ucinając dalszą część rozmowy.

Tycho zerka na mnie krzywo.

– Ci żołnierze wyprowadzili cię z równowagi.

Nie podoba mi się ta jego spostrzegawczość. Trącam go ramieniem.

– Ciebie też.

Rumieni się i ucieka wzrokiem.

Nie powinienem był tego mówić. Próbowałem odwrócić od siebie uwagę, lecz zamiast tego skupiłem ją na nim.

– Ścigamy się do stadionu? – pytam.

– Myślałem, że już nie masz pieniędzy.

– Jeśli wygrasz, jutro posprzątam twoje boksy.

Uśmiecha się szeroko i bez wahania puszcza się biegiem w kierunku stadionu, nie zważając na świeży, ciepły posiłek, który wciąż wypełnia jego brzuch. W połowie drogi pewnie go zwymiotuje.

Ruszam za nim spokojnym krokiem.

Król nie żyje.

Księżę zajmie jego miejsce.

Księżę *powinien* zająć jego miejsce. Jednak ta myśl sprawia, że czuję ukłucie w sercu. Dawno temu właśnie z tego powodu po-

przysiągłem służyć u boku Rhena. Chciałem być częścią czegoś wielkiego.

Lecz teraz jestem stajennym w zakurzonej Rillisku. Przyrodnim bratem samego księcia Emberfall. Dziedzicem tronu, który stara się nie rzucać w oczy.

I który nie jest częścią niczego.